

KATHE KOJA



URAZY MÓZGU

KATHE KOJA



URAZY MÓZGU

 **SAGA**
EGMONT

Kathe Koja

Urazy mózgu

Tłumaczenie Robert Lipski

Saga

Urazy mózgu

Tłumaczenie Robert Lipski

Tytuł oryginału *Bad Brains*

Język oryginału angielski

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1996, 2022 Kathe Koja i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728353004

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

*Dla Ricka
na zawsze*

*Chciałabym podziękować Alanowi Clarkowi
i Wayne'owi Allenowi Sallee za ich olbrzymią pomoc.
I jak zawsze, wyrazy miłości i wdzięczności
dla Ricka Liedera za wszystko.*

1

*Postrzega jeno połowę wszechświata ten,
co nigdy nie widział domeny bólu.*

Emerson

Błogosławiony gargulec nad jego głową, gdy pochłania śniadanie: olejne farby, słodkie jak krew, czerwone ramy, półleżąca postać sfinksa oddana we wszelkich możliwych odcieniach czerni. Uśpione ciało zdobi barani łeb, oczyszczoną jadłem.

Była to jego ulubiona praca *Kriosfinks*, ostatnia i najlepsza, jaka wyszła spod jego pędzla. Austen powiesił ją w kuchni, by móc stale ją widzieć, gdy miał na to ochotę, tak jak teraz, gdy jadł lub czytał gazetę. Peter uważał ją za chorą. Peter uważał, że on był chory, żyjąc w bungalowie, którego ściany szczyrzyły się do Ciebie, obwieszane nie sprzedanymi obrazami przewyższającymi dwukrotnie wartość galerii, niczym obsesyjne świadectwo jego niepowodzeń w stworzeniu możliwego do przyjęcia portretu. Austen nie próbował go poprawiać. Niech sobie myśli, co chce. Emily zawsze uważała Petera za dupka, niemniej był on przyjaznym dupkiem i pozwalał Austenowi kręcić się po galerii. „Jesteś jedną z rozrywek” — mawiał. Nie zadawał pytań, na które Austen nie mógłby odpowiedzieć żartem, wzruszeniem ramion lub półuśmiechem, nie będącym niczym więcej jak znużonym gestem samoobrony. Emily twierdziła, że Petera łatwo było oszukać, i miała rację. Miała rację w wielu kwestiach.

Gotowane jajka były niesmaczne, jakby skwaśniały w procesie fertylizacji. Ostatnio nie miał apetytu. Uniósł wzrok, spoglądając na obraz. Czym żywiły się sfinksy? Ludzkim ciałem, ludzkimi snami, czułą muzyką ludzkich krzyków? Z czego to był fragment? Emily na pewno by wiedziała.

Eks-żona — głupie określenie. Nadal jej pragnął, brakowało mu jej, wciąż patrzył na jej zdjęcia — prawdę mówiąc, jedno miał stale przed oczyma, przypięte do ściany obok ekspresu do kawy, oprawne w ramki z gałązek. Emily nie uśmiechnięta na jakiejś chłodnej plaży, podczas urlopu. Od czasu do czasu nawet się przy nich masturbował, zwłaszcza kiedy czuł się wyjątkowo słaby; pragnął w ten sposób stworzyć swym samotnym ciałem pomost wiążący go z tym, co przeminęło. Teraźniejszość — tak brzmiało to słowo, a ona była żywa i obecna, jak zapach, który stale pamiętał. W pierwszych kilku miesiącach po jej odejściu polował niczym myśliwy, przetrząsając dom w poszukiwaniu rzeczy, które zostawiła; rękawiczki nie do pary, zapomnianego biustonosza. Zbierał je, przytulał i napawał się ich zapachem oraz pocieszeniem, jakie przynosiły. Często jednak ich zapach nikał pośród jego własnego zapachu i ponownie zostawał z niczym.

Nie miał z nią kontaktu, starannie się o to zatroszczyła, by zatrzaskać te drzwi i przekręcić w nich klucz. Jednak ponowne ujście jej nie sprawiłoby mu większych trudności, nie musiałby w tym celu pokonywać Wielkiej Wody. Wiedział, gdzie przebywała.

Zero uśmiechu.

Nie.

Żaluzje były przekrzywione. Ukośny pas słonecznych promieni muskał obraz gargulca; w świetle kolory mętniały niczym zmacona woda. Przedpołudnie. Był już spóźniony, niemniej miło było posiedzieć w pustej kuchni, z ciepłą,

przesłodzoną kawą i ostatnim pączkiem, i wpatrywać się w obraz. Nie, Peter miał w zupełności rację. To nie była komercyjna praca. To był portret, wydobyty obraz, przesiany i zdeformowany, jakby dusza, niczym wosk stopniała pod wpływem tortur. Nie to zamierzał stworzyć, niemniej robił to, co umiał najlepiej. Był twórcą, a dzieło w pewnym sensie objawiało mu się samo. Radosny fakt — właśnie to przywiodło doń Emily. Jej przyjaciele uważali jego prace za ekstrawaganckie i koszmarne, dlatego wybrała się na otwarcie galerii Petera, by wyrobić sobie własne zdanie.

I wtedy go spotkała.

Co by powiedziała, gdyby znowu go zobaczyła?

Główny kucharz i pomywacz w zapuszczonym sklepie z podkoszulkami dla klientów, którzy prawie nie byli w stanie przeczytać umieszczonych na nich napisów; jego własna praca nie tyle odeszła, ile odpłynęła w zapomnienie. Czuł się jak księżyc wyrzucony z orbity — już od miesięcy nie stworzył niczego nowego i nie miał planów na rozpoczęcie nowego portretu.

Odchodzi od stołu, od *Kriosfinksa*, idzie do sypialni, by nałożyć podkoszulek (bez sloganu), a potem do łazienki, by wyszorować zęby. Później wychodzi z mieszkania, trzaskając drzwiami i zamykając zapadkowy zamek. Pozostawia pusty dom, pustą kuchnię oraz chwiejny rząd twarzy promieniujących wewnętrzną mocą i zatrzymanych w chwili, kiedy znał je najlepiej, uchwyconych jak Prometeusz, kiedy wykradał bogom ogień.

Gorący dzień stał się jeszcze bardziej upalny. Do sklepu weszło troje ludzi. Żadne z nich nic nie kupiło. Idzie za kontuar. Przerzuca stronicę magazynu rozrywki sprzed dwóch tygodni, przygląda się twarzom, lustruje je, postrzega, jakby wyobrażał sobie ich portrety, żywe grymasy, skrzywienia ust, wyrazy znudzenia i oczarowania.

Zadzwoił Peter, by powiadomić go o imprezie.

— Przyjdź — powiedział. — Wypełnij na jedną noc ze swego cmentarza.

Drapie się po spoconej czuprynie, znów coś się dzieje z klimatyzatorem.

— Twój problem — mówi łagodnie — polega na tym, że nie doceniasz wartości bycia samemu.

— Nie, chyba że mam zamiar walnąć gruchę. Po prostu przyjdź, dobra?

W porządku. Impreza lub to, co obecnie określano tym mianem — tłum ludzi, przypadkowych przyjaciół, w dużej mierze nieciekawych, upijających się w sztok pod hałaśliwe rzępolenie tego czy innego zespołu muzycznego. Może ktoś przyprowadzi przyjaciółkę, jakąś nową twarz, mógłby z nią poflirtować lub nawet ją przelecieć, choć ostatnimi czasy z wożonych w samochodzie kondomów nie miał większego pożytku, ot, obietnica nie spełnionej przyjemności. „Czy naprawdę — zastanawia się, obracając w palcach połyskujący srebrzyście, mały foliowany pakiecik — będzie mi potrzebny? Czy nie lepiej byłoby wypić tyle, by móc siedzieć, nie odzywając się ani słowem, a co więcej, nie myśląc o niczym, i przesiedziawszy całą noc przy muzycznej kakofonii, usnąć, czy to na leżance, czy na przednim fotelu samochodu, a potem, po porannym przebudzeniu — skacowany i kompletnie skostniały — wrócić samotnie do domu?”

Peter jednak nie dawał za wygraną. Nalegał, męczył go, aby się zgodził. „Kup piwko” — rzekł. „Zwrócę ci”. I tak oto — parking przed sklepem, emanujący gorącym, letnim znużeniem, śliski od rozlanych olejów silnikowych i coli, zaśmiecony odpadkami z tysiąca i jednej nocy. Dwie dziewczyny w jaskrawych, fluorescencyjnych biustonoszach i rozpływającym się makijażu wrzeszczą do siebie nad dachem niebieskiej toyoty. Biały grubas opróżnia

samochodową popielniczkę. Austen przechodzi obok niego. W szybie widzi rozmytą, szarą plamę radia samochodowego i swoje własne odbicie — spranych cętkowanych szortów i podkoszulka z obciętymi rękawami. Jest cały spocony, pomimo że zajrzał jeszcze do domu, aby się przebrać. Kiedy wchodzi do środka, septyczny zmierzch miesza się z panującym wewnątrz słabym oświetleniem. Czuje zapach wielkiej, brudnej, często otwieranej chłodziarki.

Bez namysłu wybrał dwunastopak budweisera. Uniósł pojemnik jedną ręką; dorzucił pomarszczone opakowanie suszonych paluszków mięsnych, typowej psiej przekąski. Może być. To w mniejszym lub większym stopniu jego motto i nie miał z tego powodu wyrzutów. Po dniach chwały i życia na wysokiej stopie w obecnej sytuacji czuł się całkiem nieźle.

— Coś jeszcze? — zapytała sprzedawczyni. Miała nieproporcjonalnie duże piersi i ani odrobiny uśmiechu.

— Nie. — odrzekł. Radio z tyłu za nią huczało na cały regulator dwudziestką hitów tygodnia. Musiał powiedzieć to dwukrotnie. Kiedy podsumowała ceny, poczuł, że piwo w jego wnętrzu wzburzyło się. Wypił już trzy z kupionego w zeszłym tygodniu sześciopaka nabytego na inną imprezę, która ostatecznie nie doszła do skutku; do tej pory chłodził się jeszcze w lodówce niczym resztki po nieudanej wieczornej bibce.

— Nie ma pan drobnych? — spytała sprzedawczyni.

Pokręcił przecząco głową. Nie miał ani drobnych, ani grubych. W ogóle nie miał już pieniędzy, oprócz nie zrealizowanego czeku, złożonego w pół i spoczywającego żałośnie w jednej z przegródek jego starego, zniszczonego portfela. Nad oszronionymi chłodziarkami z tyłu pomieszczenia, wymierzona w stronę wejścia, znajdowała się kamera. Kanciasty, tani, czerwonoooki model. Austen zauważył ją i przyglądał się jej

przez chwilę. Jestem waszym klientem. Portrecik dla innych widzów.

— Uśmiechnij się, dupku — wymamrotał pod nosem.

Sprzedawczyni spojrzała na niego. — Pytałam, czy nie ma pan drobnych?

Dwaj mężczyźni stojący za nim w kolejce coraz bardziej się wkurzają, szeleszcząc wielkimi torbami chrupek.

— Nie. — Rozkłada ręce na kontuarze jak prestidigitator na sobotnim party. — Już mówiłem, że nie mam.

— Następnym razem proszę mówić głośniej.

— Kurwa, czy jeszcze dziś wieczorem ktoś nas obsłuży? — Głuchy bas wymierzony jest w jego plecy. Zgarnął resztę i piwo. Wcisnął opakowanie paluszków mięsnych pod kartonowy uchwyt, po czym pokiwał głową do kamery i sprzedawczyni. Powiedziała coś. Jej usta wykrzywił kwaśny grymas, kiedy drzwi się otwarły, a Austen uśmiechnął się na wspomnienie pewnego zdarzenia, żartu, którym kiedyś uraczył Emily, i wiedziony nieodpartym impulsem ukłonił się nisko, by nie zważając na ciężki dwunastopak wykonać jednocześnie zgrabny, wręcz taneczny krok wstecz, obrót na palcach i skierować się w stronę samochodu.

I potknął się, uderzając boleśnie o nie zauważony czterocalowy krawężnik chodnika.

Miał wrażenie, że ziemia usunęła mu się spod nóg lub zmieniła konsystencję ze stałej w gazową. Pchnięty impetem potknięcia, wymachując ciężkim dwunastopakiem i rozpaczliwie usiłując zachować równowagę, przez ułamek sekundy wyglądał nawet zabawnie, jak klaun w cyrku, dopóki przy wtórze mięsistego plaśnięcia nie wyrznął czołem o chodnik.

Wypuścił wolno powietrze.

Zaczerpnął kolejny oddech już po drugiej stronie ciemności.

Jest zmęczony, śmiertelnie zmęczony, w jakimś miejscu, gdzie nie docierają żadne wrażenia.

— Dzwon, kurwa, pod 911! — powiedział ktoś.

Obudził się. Bolało. I to bardzo.

Woń i plastik zakrywający mu nos, dziwny smak w ustach. Próbował coś powiedzieć, powiedzieć coś do kogoś, zakładając w swym zamroczeniu, że był ktoś w pobliżu. Na pomoc. Pomocy. Szpital. Miał unieruchomioną głowę. I rurki w ciele. W ramieniu, w nosie i na członku. W chwili wściekłości Emily powiedziała kiedyś, że najlepiej myślał swoim kutasem. Może wysączali z niego myśli. Impresja tragedii. Na pomoc. Pomocy.

Głos kobiety, niewyraźne dźwięki. Nadzieja, gorąca i lśniąca. Emily? I nagle wstyd, to był ktoś inny. Pielęgniarka. Nie wyglądała, ani nawet głosem nie przypominała Emily. Idiota.

Niezrozumiałe słowa, zlewające się w radosny, profesjonalny bełkot. Sprawdzenie wszystkich rurek, dotknięcia na całym ciele. Kobieta zagląda mu w oczy, przyświecając sobie małą ołówkową latarką, promień prawdopodobnie dotyka jego leniwej lewej źrenicy. Uważaj na krawężniki. Pięś, nie chodź.

— Mogę dostać aspirynę czy coś w tym rodzaju? — Chwila nieprzyjemnego zaskoczenia wywołanego jego nowym, uległym tonem, jakby mówił, mając usta pełne gówna.

Dotknęła jego ramienia i przemówiła do niego w patois, którego nie zrozumiał. Ściągnęła brwi. Usta poruszają się wolniej, widocznie spróbowała jeszcze raz. Bełkot.

— Boli mnie głowa. — Sięga ręką, by wskazać źródło bólu, ale napotyka przeszkodę i zwój bandaży, których grubość wprawia go w zaniepokojenie, ale jeszcze bardziej

przeraża go natarczywy jazgot pielęgniarki mówiącej nie znanym mu językiem. Na plakietce ma napisane Anna.

— Anno — mówi, starając się zachować spokój, choć ból w czole jest tak silny, że o mało nie wybuchnął płaczem. — Nie rozumiem cię. Mówisz po angielsku?

Bardzo wolno pokiwała głową.

— Ja też. — I zapłakał. Małe, szare łzy pośród ogromnego morza jego lęku. Próbuje ścisnąć dłoń Anny nabrzmiałymi, spuchniętymi palcami wielkości mitenek. Sięga w jej stronę niczym dziecko w ciemności. Pomóż mi.

Zanim odeszła, poklepała go po dłoni i obiecująco wymamrotała osobliwe słowa, jakby żywcem wyjęte z języka Yahoosów. Zaległ w bezruchu. Leżał tak bez tchu, z pierśią ściśniętą paniką, która przygniatała go niczym niewidzialny gargulec, jak kriosfinks, z ruchliwym badawczym językiem muskającym nieśmiało rurki wdrażające się do jego wnętrza; oniemiały, zagubiony i pierwotny, zupełnie sam w niebiesko-białym pokoju.

Ręce i nogi drżą na obcym łóżku. Kroplówka sączy się leniwie, podobnie jak czas. Czoło ma owinięte jak mumia, lęka się powiedzieć choćby słowo, lęka się powiedzieć cokolwiek w obawie tego, co mógłby usłyszeć. Boi się wszystkiego. Groza tak dojmująca, tak absolutna i tak wszechpotężna oładnęła jego umysłem. Spróbował się poruszyć, podnieść się z łóżka i rzucić do ucieczki. Natychmiast jednak, niczym piana na grzbiecie fali, pojawiło się uczucie głębokiego oddzielenia, jakby obserwował strach kogoś innego, jakby stał się osobą siedzącą po turecku wewnątrz swojej własnej klatki piersiowej, jakby patrzył spokojnymi, nie mrugającymi oczyma wytrawnego obserwatora, oczyma artysty.

Naraz w kącie pokoju, opodal drzwi, coś się poruszyło. Płynne, wilgotne, gęste zawirowanie; srebro, nieomal

łuskowate, delikatne jak skóra ryby, rozciągające się, wydłużające.

Ku niemu.

Obserwujące go i obserwowane.

Nieludzka istota.

A on patrzył chłodnym, nieludzkim, milczącym wzrokiem, niezdolny do ucieczki i do odczuwania strachu, jak to kapryśnie wycofało się w głąb nie zaciemnionego kąta, pustego narożnika pustego pokoju.

Jednocześnie odzyskał wrażenie bycia sobą, znów czuł kroplówki wsączające płyny do jego ciała. Ból ponownie przypomniał mu o sobie, własnej kruchości i słabości oraz konsternacji. „Jak to człowiek może zrobić z siebie durnia, potykając się i waląc głową o chodnik, by ocknąć się w krainie cierpienia, gdzie nawet nie jest w stanie głośniejszy krzyknąć w obawie przed własnym głosem...” — rozmyślał.

I tak przez całą noc.

Neurolog miał dziwnie pocętkowaną skórę, jak buty ze starego aligatora i chłodną rezerwę, która z jednej strony rozbawiała, z drugiej zaś drażniła Austena.

Leżał zaintubowany. Drżał z głodu i zwyczajnego osłabienia. Rozumiał, co prawda, jeszcze nie wszystkie, ale większość usłyszanych słów, pojmował już co drugi niuans. Pociecha z tego była niemożliwa do opisanego, niemniej odzyskanie prostej zdolności rozumienia była dla niego, krocącego cienką linią pomiędzy światami, rzeczą nieomal zbawienną. Kiedy przestanie go dręczyć upiorny, ćmiący ból głowy, z pewnością się nad tym zastanowi.

— Cierpi pan na atak płata skroniowego. — Neurolog świeci mu latarką w oczy. — Kto jest prezydentem? — Drobne testy. Czuje pan? Tu? A tutaj? Spojrzeć w górę, w dół. Unieść brwi. Zamrużyć. Anna z tyłu za nimi uśmiecha się pod nosem. — Przepiszę panu tegretol. Proszę

brać regularnie. I demerol od bólu głowy. Przeprowadzimy jeszcze kilka testów. Proszę nie opuszczać miasta.

Jasne.

Kiedy neurolog wyszedł, Anna wciąż się uśmiechała; teraz jednak swobodniej. Nie wyszła z pokoju.

— Masz szczęście — powiedziała. — Doktor Vickers to bardzo dobry lekarz.

— O jakich... — Austen chciałby się poruszyć, przetoczyć na bok i zrobić to, gdyby nie przejmujący, nie dający za wygraną ból w lewym ramieniu. — O jakich on mówił testach? I co to jest tegretol?

— Tegretol jest lekiem antynapadowym i przeciwkonwulsyjnym — odparła, ponownie sprawdzając rurki kroplówek i zaglądając mu do nosa i uszu w poszukiwaniu śladu wycieków płynu mózgowo-rdzeniowego, obrzmień i infekcji. Jej dłonie były niezwykle chłodne i wilgotne, zwłaszcza koniuszki palców, których dotyk wydawał się niezbyt przyjemny.

Co się tyczy zaś testów, czeka go jeszcze tomografia komputerowa, emisyjna topografia pozytronowa, a możliwe, że również ekranowanie MR (metodą rezonansu magnetycznego), elektrokardiografia i kolejne prześwietlenia.

— Dobrze, że zapłaciłem składkę ubezpieczeniową.

Anna ponownie się uśmiecha. Mówi coś, czego on nie słyszy, a kiedy otwiera usta, chcąc poprosić, aby powtórzyła, zapach w jego nosie zmienia się ze słabego, obecnego w tle zapachu aseptyków w fetor wymiocin, niezwykle silny, gęsty i natarczywy i nagle przestał być kimkolwiek, nie był już człowiekiem, jednostką, osobą, stał się hordą ruchliwych, spętanych plastykiem komórek, a odchodzący w cień smród jest jego jedynym łącznikiem z chwilą, która właśnie przeminęła. Zamrugał do Anny, jakby chciał powiedzieć: — o rany, nadchodzi jeszcze jeden,

ale nawet ta myśl, jej wyobrażenie kojarzyło mu się z przepływem i wirowaniem drobinek kurzu, strzępów skóry, lekkim podmuchem powietrza wywołanym kolejnymi przejściami śmierci. Jakimże ruchliwym miejscem musiał być ów szpital...

I znowu strach, jak pierwsze kroki rytualnego tańca, a on, bystry i pojętny uczeń natychmiast zerknął w kąt, gdzie drżała srebrna istota, chmura śluzu, łuskowaty stwór. Jednak jej tam nie było. Ale mógł ją zobaczyć. Zerknij tylko na taflę łazienkowego lustra. To coś było ledwo widoczne; wykonywało niemal uwodzicielski ruch, wirowało. Spójrz tylko, spójrz na to, spójrz.

I pośród migotania uświadamia sobie, że został rozpoznany, ponieważ to widzi również jego.

Ataki. Istny róg obfitości.

Jeden po drugim, cała przerażająca gama obrazów, zapachów, wizji, stawania się nikim, ludźmi, którymi nie był. Chępił się w głos i przyznawał do rzeczy, których nigdy nie popełnił. Powiedział Annie, że będąc w drugiej klasie liceum, zamordował jedną z uczennic. Powiedział Annie, że był kobietą imieniem Clare. Powiedział Annie, że jego żona umarła i czasami tak za nią tęskni, że również jemu odechciewa się życia. Powiedział Annie, że nie mógł już malować. Powiedział... i wcale się tym nie przejmował.

Wciąż dręczą go nie kończące się bóle głowy połączone z pragnieniem wydrapania sobie oczu. Wymyśla najlepsze sposoby, jak tego dokonać, aby nie wymagało to wiele czasu i zręczności. Gdyby zobaczyli, co robi, na pewno próbowaliby go powstrzymać. Patrząc na elastyczne zwoje rurek, zastanawia się, które były wejściowymi, a które wyjściowymi. I co by się stało, gdyby ścisnął jedną z nich?

Ciągle to samo. Demerol i tegretol. Oddawanie moczu do niebieskiej, plastikowej kaczki, której krawędź była

nadgięta i poodłupywana przez całe pokolenia jego poprzedników, pacjentów. Zachlapuje się moczem, czuje ciepło na udach.

W momentach ciągnących się jak korytarze, pomiędzy bólami głowy i atakami, wbrew twierdzeniom wpadającego od czasu do czasu lekarza prowadzącego jego terapię — nie odczuwa przygnębiającej depresji ponapadowej — lecz raczej coś, co można by określić mianem tępej nienawiści i odrazy względem samego siebie. Czuł wstyd. Był to wstyd człowieka, który popełnił jakąś głupotę, wskutek czego zrujnował sobie życie, człowieka, który wycofując się do samochodu, przez jeden idiotyczny gest potknął się, wyrznął głową o chodnik niczym postać z taniej kreskówki i wpadł w bezlitosną, mroczną otchłań. Jak dotąd nie powiedział jeszcze nikomu o prawdziwej przyczynie swego wypadku, stwierdził jedynie, że się potknął i upadł, co już samo w sobie było olbrzymim kretyństwem. Kretyństwem na tyle wielkim, że dorobił się dzięki niemu dziury w czaszce i być może zostanie do końca życia kaleką.

Łóżko nie było złe. Głowę unieruchomiono mu tylko po to, by nie ruszał nią zbyt gwałtownie. Utrzymywali go w czystości, odpowiadali na pytania, faszerowali lekarstwami. Poskarżył się, że ma pragnienie. Powiedziano mu, że musi ograniczać spożywanie płynów, by zapobiec możliwości powstania edemy. Co to takiego? Zatrzymywanie się wody w pańskiej głowie. W pańskim mózgu. Puchlina. Och. Kiedy znów zacznie męczyć mnie pragnienie, będę musiał sobie o tym przypomnieć. Chyba nieźle dawał się im we znaki.

Tak bardzo się bał.

Peter wpadł z wizytą. Był mocno zdenerwowany. Przyniósł żonkile i chyba ich zapach spowodował kolejny atak, po którym Austen ocknął się cały we łzach, z dłońmi rozwierającymi się i zaciskającymi na pościeli niczym kraby

gorączkowo pragnące ucieczki. Był sam w pokoju, lecz w oddali, w rogu dostrzegł błysk srebra, niknący jak widok chusteczki, którą macha się na pożegnanie. To do zobaczenia. Na razie.

Zwiększyli mu dawki tegretolu.

Wydawało mu się, że czuje zapach ropiejącej rany w czaszce, ale nie była to woń zgnilizny. Poczul na głowie jakąś narośl, która lada chwila mogła wypuścić kwiaty lub z której, niczym Atena, mogło wyskoczyć jakieś zwierzę. Powiedział Annie, że jego matka była znaną paryską artystką. Powiedział Annie, że był mistrzem wyścigów motokrosowych. Niemal cały dzień przepłakał za Emily, błagając, by przyszła i spotkała się z nim chociaż na minutę; nie musieliby w ogóle rozmawiać. „Wystarczy, że usiądzie na krześle” — rzucił w przestrzeń. Sufit migotał światłem, którego nie widział nikt oprócz niego. „Po prostu posiedź chwilę. Chciałbym cię zobaczyć.”

Wrócił Peter. Zastał go przytomnego i bez pasów unieruchamiających głowę.

— Dobrze wyglądasz. — Przystawia sobie krzesło do krawędzi jego łóżka. — Wrócisz niedługo do domu, nie?

— Powiedzieliby mi. — Był taki zmęczony, że nie miał siły mówić. — Nie sądzę.

Peter mówił o galerii, o wystawie, o tematyce Klee'a, jego wczesnych pracach i o sześciu artystach, z którymi praca była istną katorgą. Byli to, jak powiedział, najmniej skłonni do współpracy, najbardziej narcystyczni skurwiele, jakich kiedykolwiek widział.

Oczy Austena zamknęły się bez jego przyzwolenia.

— Podasz mi kubek? Tak, ten. Dzięki. — Wciąż miał sucho w ustach, pozwolono mu na ssanie małych kawałków lodu. Do następnego zastrzyku zostało trzydzieści jeden minut. — Rozchmurz się — rzekł do Petera, usiłując się uśmiechnąć. Wiedział, że wyglądał fatalnie, ale nie chciał,

by inni przejmowali się jego widokiem. — Może kopnę w kalendarz. Cena wszystkich moich nie sprzedanych prac pójdzie ostro w górę.

— Ale ci, kurwa, humor dopisuje — Peter podniósł się z krzesła. Był bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek. — Wyzdrowiejesz. Będzie dobrze. Pielęgniarki mówią, że prowadzi cię Einstein neurologii, nie ma możliwości, by przydarzyło ci się coś złego.

Einstein neurologii również odwiedził go tego dnia, co Austen zarejestrował niejako mimochodem pod koniec jednego z ataków, które stały się teraz brutalne i gwałtowne. Nie był jednak pewien, czy chciał, aby się skończyły. Widok krwi przetaczającej się pod skórą, chłodnego oddzielenia znanego od nieznanego, srebra tryskającego niczym woda na tle bladej ściany; to najwyraźniej musiało tu być i obserwować go przez cały czas. Czekają na niego? Czy było dzieckiem jego ataków, czy może miało głębszą genezę? Nie wiedział. Leżał jak zwierzę, skomląc cichutko. Znowu jest sam, pusty, obrysowany, zdjęty lękiem tak głębokim i dojmującym, że przywodził mu on na myśl pobyt w kanale, umieranie, przekroczenie granicy do pustych niebios, przed którą się zatrzymał rozciągnięty i wysuszony niczym kadłub oczekujący karmienia. Jego jedynym słońcem było blade światło z sufitu, przeradzające się jakby wstydliwie w żółty promień ołówkowej latarki. I nagle — widok zmarszczonych brwi, twarzy doktora Vickersa i jego przesycony nie strawionym posiłkiem oddech.

— Teraz już szybko się ustabilizuje. — I zaraz potem mruczy coś zupełnie innego do Anny czy jakiejś innej osoby, która bardzo ją przypomina. Mówi do jednej z całej rzeszy pielęgniarek, jak zawsze kompetentnych, profesjonalnych i miłych. — Jedna z naszych pielęgniarek mówi, że jest pan malarzem. Czy to prawda?

Nie.

— Tak. — Wieczny ból głowy. Boli go klatka piersiowa. Boli go, gdy oddycha. — Byłem.

— Ale już pan nie jest? Dlaczego?

— Rzuciłem.

— Poproszę doktora Stellę, aby rzucił na pana okiem.

To nie było pytanie, więc Austen zamknął oczy i niemal natychmiast usnął. Naprawdę usnął. Było to tak wspaniałym i niezwykłym darem, że z niekłamaną wdzięcznością zastygł w bezruchu, chcąc dać się unieść temu prądowi jeszcze dalej i jeszcze głębiej, gdzie dane byłoby mu poczuć obok siebie Emily. Udało się. Nosił duży i workowaty podkoszulek z białymi literami układającymi się w napis, którego nie był w stanie odczytać; stopy miał bose. Była ciepła — dotknął jej, poczuł zapach jej włosów, osobliwą woń, nie mającą sobie równych, jedyną w swoim rodzaju. Nie miało znaczenia, czy działo się to naprawdę, czy nie. Czy nirwana istnieje w rzeczywistości? Albo satori? Śnił o rozmowie z nią, ale dotknęła jego ust wskazującym palcem i radośnie podporządkował się jej gestowi, nie mówiąc więcej ani słowa. Tak dobrze było znów ją przytulić. Był niezmiernie rad, że wróciła.

Na zawsze. Wiedział o tym. Ciągące się w nieskończoność popołudnie i rygorystyczne przesłuchanie powiedziały mu, że do końca życia zostanie więźniem swego okaleczonego mózgu, poobijanego i udręczonego atakami, z którymi jego lekarstwa nie do końca mogły sobie poradzić. Zaprzedał swoją wolność i życie jednej chwili głupoty. I to nie było ani trochę zabawne. Wcale. Panika goni panikę i buduje mur rozpacz. Nie próbował o tym nikomu mówić, choć nie wiedział, czy to mu się udało.

W pobliżu nie było ludzi, którym mógłby o tym opowiedzieć, z wyjątkiem Stelli i Vickersa, którzy,

jak podejrzewał, nie poświęcali mu większej uwagi, oraz pielęgniarzek zbyt jednak zajętych nim samym, aniżeli jego majaczeniami. Przez tydzień miał współlokatora, chudego jak szczapa faceta o długich kosmykach żółtawych włosów opadających na jego wciąż zamknięte oczy; cuchnął strasznie, choć leżał za parawanem i Austen podejrzewał, że to właśnie jego smród wywołał kolejny atak. Po tamtej pierwszej nocy facet bez przerwy wył, domagając się demerolu: „Zastrzyk, dajcie mi zastrzyk. Chcę mój zastrzyk. Siostro!” Zawodził jak katarynka, to było nawet gorsze od bólów głowy. Któregoś razu Austen przycisnął guzik przywołujący pielęgniarkę i zapytał:

— Czy nie można by mu dać tego zastrzyku?

— Jeszcze nie czas — odrzekła pielęgniarka. Miała twarz przypominającą pyszczyk abisyńskiego kota.

— A może by go przynajmniej zakneblować?

Spojrzała na niego, jakby był czymś gorszym od zrakowaciałej tkanki.

— Nie ordynujemy tutaj leków dla wygody — stwierdziła

— Ani naszej, ani naszych pacjentów.

„Pieprzę cię” — pomyślał. — „Nie musisz tu siedzieć i wysłuchiwać tego zawodzenia”. Wyglądało na to, że nawet poprzez mgłę i hałas ataków słyszał jęki chorego. Jego odgłosy tworzyły mętne, czerwone zawirowania na tle pokoju, minitornada nie spełnionych pragnień.

Srebrna istota nie zauważyła zawirowań bądź nie zwracała na nie uwagi, ale tylko dlatego, że była bezcielesna, jak przystało na istoty ze snów. Od czasu do czasu, gdy nie targały nim epileptyczne drgawki, Austen zastanawiał się, czy powinien się tego bać, tego lub przynajmniej częstości jego wizyt. Jedyne jego mózg potrafił pojąć tajemnicę wszechobecności tego łuskowatego, rtęciowego tańca, ale jego mózg nie mógł

obecnie być uznany za wiarygodnego świadka. I być może, to właśnie było najbardziej przerażające.

Jęki mężczyzny ucichły wraz z jego odejściem. Otumanionego demerolem odwieziono na OIOM. Nikt inny nie zajął jego łóżka. „Może nikt nie chce dzielić ze mną pokoju, bo jestem nienormalny” — pomyślał Austen i uśmiechnął się do pustego pokoju. Lubił swój pusty pokój. Nie chciał innego wyjca ani tym bardziej nikogo przytomnego, kto mógłby zapytać: „Co się stało?”, tak jak czynili to wszyscy inni na korytarzach i w pokojach zabiegowych. Zawsze mógł uniknąć odpowiedzi. Wystarczyło, że zamknął oczy i udawał trupa, dopóki inni pacjenci czekający na badanie metodą MR czy inny test nie odczepili się od niego. Wyglądał dość odpychająco z grubym bandażem na czaszce i bladym obliczem umarłego, a poza tym tamci mieli swoje problemy, którymi musieli się martwić. Współlokator mógłby nie zadowolić się milczeniem, mógłby chcieć się z nim zaprzyjaźnić. A on, mimo że jego mózg był zapewne bliski kompletnego unicestwienia, nie miał ochoty opowiadać, jak doszło do wypadku i że był on wynikiem jego własnej głupoty. Nie powinno się śmiać z ludzkiego nieszczęścia.

Ataki wciąż powracały. Były jak nieodłączne tło. Osiągały dzienny pułap dwunastu, po czym robiły sobie dzień lub dwa przerwy, by zaatakować go z nową mocą i męczyć raz po raz, ale za to bez końca. Dr Stella, który okazał się wyższą i mniej zabawną wersją doktora Vickersa, wyjaśnił Austenowi podczas jednej z coraz mniej licznych przerw pomiędzy atakami, że były one skutkiem impedancji aktywności elektrycznej wywołanej naturalnie orłem, jakiego wywinął na parkingu przed 7-Eleven. Anna powiedziała, że czasami zanim się komuś poprawi, musi się najpierw pogorszyć. Pod tym względem się z nią zgadzał. Poza tym nigdy go nie szarpała, gdy zmieniała mu bandaże.

— Twoja głowa wygląda coraz lepiej — powtarzała za każdym razem. — Goi się znakomicie.

A on w pełni świadomy jej otoczenia i samego siebie, jako siebie, a nie jakiegoś chłodnego, postronnego obserwatora przyglądającego się temu biednemu durniowi z rozbitą czaszką, gojącą się dzięki zbawiennemu upływowi czasu i lekarskiego odpowiednika superkleju, w duchu przyznawał jej rację. To prawda, z zewnątrz faktycznie zdrowiał. Pozwoliła mu przejrzeć się w lusterku i stwierdził, że nie wygląda już jak manekin używany do testów na rozbijanie samochodów.

Natomiast wewnątrz... cóż, to była zupełnie inna sprawa.

Tak więc: testy. Stał się koneserem, jeśli chodzi o zachowanie, przyjmowanie pozycji, żargon, żarciki używane w celu rozluźnienia pacjenta. Już ich nie używano względem niego, no bo niby po co? Nie było mu do śmiechu, za to podczas ataków mógł się wyrechotać za wszystkie czasy. Była to jego ulubiona rozrywką, a przy tym sposobność na zabicie czasu. Niezależnie od grafiku lekarze zawsze byli spóźnieni; tylu było chorych! Nigdy by nie pomyślał. Tak więc, czy to leżąc, czy siedząc na swoim środku transportu, nasłuchiwał z zamkniętymi oczyma historii, jakie opowiadano wokół niego. A ludzie opowiadali właściwie bez przerwy. Nawet jeżeli byli umierający.

Może język umiera ostatni?

— ...siostra, ona jest z Tennessee, no i ten lekarz przestudiował uważnie mój przypadek i powiedział do niej: „Powinna pani natychmiast zabrać brata z tego szpitala, ponieważ...”

— ...szesnaście miesięcy, od początku do końca. Lekarze powiedzieli, że...

— ...pod pachami. I na plecach. Jak ukłucia igłą, kapujesz? Przeszywają mnie na wskroś. Powiedziałam

mężowi...

A on samotny, bez żony, leżał otulony grubym kokonem odartej z opowieści ciszy, oczekując na wezwanie i stanięcie w obliczu zmieniających się z dnia na dzień łask: technika, którego nazywał Tex, ponieważ miał na imię Austen, kobiety pachnącej orzechami i mówiącej z silnym południowym zaśpiewem, faceta o długich włosach noszącego swoje wudu w rastafariańskiej sakiewce. Traktowali go jak hamburgera, przerzucając z rąk do rąk w zwinnym, wręcz baletowym, profesjonalnym tańcu. Czasami wydawali się zmęczeni, czasem byli zniecierpliwieni, aczkolwiek rzadko on był tego powodem. Był dobrym pacjentem, cichym, spokojnym, zawsze robił, co mu kazano.

Doktor Stella pojawiał się teraz częściej niż dr Vickers. Zjawiał się w wygniecionym, białym fartuchu. Zawsze z marsowym czołem. Drażnił Austena tym swoim wiecznym strzelaniem kciukiem o paznokieć palca wskazującego, a na dodatek ten zapach dłoni... zapach taniego restauracyjnego mydła. Wyglądało na to, że nie żywił do Austena sympatii, denerwowały go gwałtowne, liczne ataki Austena i jego stoicka akceptacja tychże napadów. Widocznie tegretol powinien być bardziej skuteczny, a może osobliwa fizjologia Austena hamowała działanie lekarstwa. Zmienili tegretol na myzolinę, która uczyniła zeń ślamazarnego leniwca. Niestety, nie powstrzymała ataków, więc zaordynowali mu kombinację obu specyfików, co okazało się jeszcze gorsze. Wreszcie powrócili tylko do tegretolu. Może następnym razem będą to jaszczurcze łapki, albo krew białych kur.

— Hej! — rzucił Austen. — Przynajmniej demerol ciągle działa. — Odczuwał dziwną przyjemność w rozłoszczeniu doktora Stelli z jego nerwowymi tikami i pachnącymi

dłońmi. Jeżeli Vickers był Einsteinem, to kim był Stella? Freudem?

— Doktor Vickers mówi, że jest pan artystą.

Peter znów przysłał kwiaty, sztuczne, szklarniowe, psychodeliczne tulipany, czerwone jak raki. Austen nie chciał na nie patrzeć. Wolał przeżyć następny atak w samotności, a nie pod badawczym, przenikliwym spojrzeniem Stelli. Nie czuł zapachu kwiatów, lecz wyobrażał go sobie, nieomal widział, jak unosi się w powietrzu hipnotycznymi, falującymi ruchami.

— Byłem — odparł. — Dawno temu. Teraz prowadzę sklep z podkoszulkami.

— Zastanawialiśmy się — rzekł Stella, nie patrząc na niego — czy te ataki wpłynęły również na pańskie uzdolnienia artystyczne. Chcielibyśmy, aby spróbował pan coś dla nas namalować.

Och, świetnie.

— Nie — oświadczył Austen. — Nie uważam, aby to był dobry pomysł.

Zapach osiągnął obecnie konkretny kształt, odrywając jego uwagę od Stelli i przesuwając się w przestrzeni nad jego łóżkiem niczym ciężkie załamania dzwonu. Serce wewnątrz zakołysało się ruchem nie tyle rytmicznym, co zmysłowym, jak biodra i nogi tancerki.

— Nie będzie wisiał w Luwrze — powiedział odrobinę zniecierpliwiony Stella. — Chcielibyśmy, aby...

I wtedy to opadło na niego z gwałtownością i migoczącą intensywnością burzy, zamykając go w gęstym oparze woni, jakiegoś nieokreślonego zapachu. A on patrzył z chłodnym, beznamietnym zainteresowaniem na zbliżającą się ku niemu srebrną istotę, poruszającą się zalotnymi ruchami Salomei. Jej łuski falowały delikatnie, mógł dostrzec ją kątem oka, przyjrzeć się jej naprawdę i stwierdzić jak wyglądała.

Była na tyle blisko, że właściwie mógł jej dotknąć.

„A gdybym jej dotknął — zastanawiał się, czując lęk zamykający się wokół niego niczym niewidzialny koc lub mroczna, znajoma dłoń, która w rzeczywistości ani razu naprawdę go nie dotknęła — czy moja ręka przeszłaby przez nią na wylot? A może, gdybym cofnął rękę, byłaby pokryta wilgocią, śliska od wydzielin, i emanowałaby odorem, którego źródła nawet bym się nie domyślał ani nie potrafił nazwać? Które z rozwiązań okaże się prawdziwe?”

Mięśnie zdecydowały same, nie czekając na umysł. Jedna ręka, drżąca z podniecenia, unosi się jak szczątek zatopionej łodzi na falach, sięga... ale czy dosięgnie? Dotknie tego czegoś? Czy to pozwoli się dotknąć? Czuł każde kolejne uderzenie serca niczym odrębny, wyraźny cios młotkiem wymierzony w swoje ciało. Porusza się z wystudiowaną, bolesną precyzją, patrząc a jednocześnie nie patrząc, ale to wiedziało i umknęło niczym spłoszona łania, znikając coraz dalej z pola jego widzenia, aż wreszcie usunęło się tam, gdzie nie mógł już sięgnąć wzrokiem.

To było takie piękne.

I tak bardzo bolała go głowa.

— Doktor Stella mówi, że nie chce pan współpracować.

Co jeszcze? Leży na wznak, ogarnięty porannym wyczerpaniem z powodu kolejnej tomografii komputerowej. Ma za sobą długie oczekiwanie na korytarzu i jeszcze dłuższe na demerol. Nie był już unieruchomiony, i choć jeszcze nie w pełni swobodny, był niemalże wolny. Nie chciał rozmawiać z Vickersem o Stelli, nie chciał w ogóle rozmawiać o malowaniu.

— Staram się współpracować.

Łgarz. Schwycił ustami harmonijkową, giętką słomkę jak sutek. Smak piwa nie jest w stanie zabić woni rzygowin, odkładającej się grubą warstwą na jego języku i podniebieniu. Nie mógł pozbyć się jej przez cały ranek. Jakimś cudem nie miał dzisiaj ani jednego ataku. Najwidoczniej zapach nie był zwiastunem napadu.

Świetnie. To mu pasowało. Ostatni atak był niewiarygodny, dotknął samego jądra tego, co do tej pory pozostawało w uśpieniu, przekonał go, że srebrna istota, którą zobaczył, mogła być nie tylko namacalna, ale i rzeczywista.

I o tym właśnie efekcie ubocznym nie chciał nawet myśleć. To złudzenie było zbyt silne jak na jego gust. Nie chciał mieć tych złudzeń. Nie chciał trwałej pamiętki. Upadasz, idziesz do szpitala, zdrowiejesz. Jak kroki w tańcu. Trzy pierwsze wykonał, najlepiej jak potrafił. Starał się — niezależnie od tego, co myślał Stella, ten dupek — wykonać czwarty i wrócić do domu. I będzie go musiał zrobić, i to jak najszybciej; jego ubezpieczenie było mocno nadszarpnięte i niedługo przekroczy dopuszczalny limit. Ostatnimi czasy było im coraz trudniej uporać się z finansami.

Vickers wciąż na niego patrzył.

— Dlaczego Stella... doktor Stella twierdzi, że nie współpracuję?

— Chce, aby pan malował. Chcemy sprawdzić, czy pańskie ataki wywarły wpływ na...

— Nie malowałem od blisko roku. — Wypowiedział te słowa silniej niż zamierzał. Zbyt głośno jednak jak na spokojne wnętrze tego pokoju. Imbirowe piwo pryska mu na zaplamioną koszulę nocną. — To nic wam nie da. — Uświadomił sobie, że trzęsą mu się ręce, nie tyle drżą, co dosłownie dygoczą jak w febrze; przyciska je do ud, usiłując się skoncentrować w nadziei, iż nie była

to nowa, objawiająca się drganiami mięśniowymi zapowiedź kolejnego ataku. Były już zapachy, teraz spróbuj drgawek! — Nawet nie wiem, czy jeszcze potrafię malować.

Vickers wzrnszył ramionami. Spojrzał na jego kartę. Dawał mu czas do namysłu. Austenowi w to graj, potrzebował tej zwłoki. Na zewnątrz padało, a na szybie pojawiła się srebrna otoczka, jakby sama srebrna istota usiłowała dostać się do środka.

Nie. Nie zaczynaj. Ile czasu minęło, odkąd przejmował się pogodą? Zawstydził się. Nie wiedział.

Vickers odłożył jego kartę.

— Pańskie czoło jest już prawie zaleczone — stwierdził. — Jak pan się czuje?

— Świetnie. — Drżenie z wolna ustępowało. Może to tylko reakcja lękowa wywołana żądaniem powrotu do malarstwa; w porządku.

Ej, Peter, czy to normalne tak się zachowywać? Ej, doktorze Vickers, wydaje mi się, że mam lęk przed pracą twórczą, à propos, czy uważa pan, że halucynacyjne wizje srebrnego potwora wyglądającego jak długi ciągnący się glut mogą o czymś świadczyć? Może o pogarszającym się stanie zdrowia? Co to znaczy, że jest to związane z obszarem?

— Co? — Głupio powiedziane, zbyt głośno. — Co pan powiedział?

— Powiedziałem, że jest to związane z obszarem. Ataki płata skroniowego. — Powtarzanie. Rozmowa z idiotą. — Ale w pańskim przypadku to wyrwało się już spod kontroli.

— Nie rozumiem. — Teraz wypowiedział spokojniej. Przesuwa dłonie, które już prawie nie drżą, najpierw prawą, a potem lewą, wykonując przy tym drobne gesty — wymówki. — Udaje, że musi podrapać się po nosie bądź przetrzeć oko. Robi to powoli, aby Vickers nie zaordynował mu czegoś mocniejszego... —

Nie rozumiem, dlaczego uważa pan, że malowanie może mi pomóc.

— No cóż, powinien pan zrozumieć, jak ważne jest, by współpracował pan z lekarzami. Nie możemy zmusić pana do wyzdrowienia.

— Fakt. — Drżenie ustało już zupełnie. — Proszę posłuchać. — Ostrożnie, nie daj mu się przejrzeć... — Pomyślę o tym, dobrze?

Najwyraźniej to nie wystarczyło. Vickers, jakby zde gustowany, wykonał krótki wpis na karcie i odwiesił ją z głuchym szcęknięciem. Nie pożegnał się.

Leży niemy po demerolu. Poranna mżawka przerodziła się w prawdziwą burzę. Słyszy bębnienie ciężkich kropel o szyby, jakby dudniły wprost o cienką błonę jego bębenków. Prześcieradła pod nim stanowią landszaft równie kruchy i odległy jak plazma deszczu. Pomyślał o sklepie z podkoszulkami, Peterze, rachunkach za pobyt w szpitalu, lecz to wszystko wydawało mu się równie odległe i nieistotne jak warunki pogodowe na Księżycu czy lęk przed rekinami albo owadami. Pomyślał o swojej matce, której nie widział od blisko piętnastu lat, a która nie była — jak to powiedział Annie — artystką w Paryżu lecz emerytką i mieszkała, czego był prawie pewien, w Wichita Falls w Teksasie. Przypomniawsobnie, kiedy widział ją po raz ostatni, gdy pozostawił ją pałającą gniewem tak starym, że aż nostalgicznym. Ale nie, to nie był ostatni raz, niezupełnie.

W szpitalu dopuszczano wizyty. Spytali go o krewnych, rodzinę, bliskich, kogoś kto był mu drogi. Kogokolwiek.

— Nie mam nikogo — odrzekł. — Nie mam rodziny.

— Na formularzu wpisane jest, że jest pan żonaty — powiedzieli. I pokazali mu pismo.

— Nie byłbym tu, gdyby mój mózg pracował jak należy — wyjaśnił im spokojnie, ale to przecież oni powinni wiedzieć